

Rewolucja przemysłowa w nauce - czyli wióry na drodze postępu

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Profesora Janusza Lipkowskiego pt. *Rewolucja przemysłowa w nauce?* („PAUza Akademicka” nr 220 z 19 września 2013). Autor rejestruje niekorzystne zmiany w praktyce i stylu życia naukowego. Spłaszczenie relacji uczeń–mistrz, nadmierne obciążenie animatorów twórczości naukowej uczestnictwem w bojach o fundusze na badania, spętanie swobody twórczości przez konieczność zdobywania kolejnych stopni naukowych w gorsze sztywnego harmonogramu – te negatywne symptomy niewątpliwie dają się badaczom we znaki. Sytuacja odzwierciedla zjawiska społeczne w większej skali. Czyż egalitaryzacja nauki nie jest prostym odzwierciedleniem „buntu mas” (Ortega y Gasset), a parcie na upowszechnianie tytułu profesora nie jest tego buntu wyrazem? Czyż urynkowanie nauki nie wyraża „buntu elit” (Christopher Lasch), polegającego m.in. na zaniechaniu racjonalnego sterowania życiem społecznym? W swoim opisie Autor nie ucieka od szczególnie niepokojących wyróżników lokalnych.

Nie podzielam poglądu Autora, iż wyszczególnione przezeń bolączki w znaczący sposób hamują rozwój nauki. Postrzegam je raczej jako dokuczliwe wióry, lecące spod pił i siekier tam, gdzie trwa intensywny wyrąb podłoża pod traktory wiodące ku nowoczesności. Będę polemizował z przedstawioną przez Autora – kategorię uogólniającą – interpretacją niektórych zjawisk oraz z przytoczonymi przezeń negatywnie zabarwionymi ich definicjami.

Pan Profesor przywołuje minione czasy, kiedy (cytuję): „mistrz był autorem koncepcji badań, najczęściej też sam tworzył własny warsztat badawczy i miał wiedzę wybitnie odróżniającą go od najbliższego otoczenia”. I zauważa, że „dzisiejszy ‘mistrz’ musi być sprawnym przedsiębiorcą, zdolnym do zdobywania funduszy i przyciągnięcia młodej kadry”. O ile każde z twierdzeń z osobna można uznać za słuszne, ich zestawienie sugeruje, że postawy mistrza i przedsiębiorcy wzajemnie się wykluczają, a w najlepszym razie mistrz–przedsiębiorca to odmiana mistrza prawdziwego, któremu „almighty dollar” wypaczył duszę i umysł. Nie dostrzegam strukturalnej sprzeczności między mistrzem a przedsiębiorcą. Uważam – i znam na to wiele przykładów – że postawy te mogą się znakomicie uzupełniać. Rozumiem i podzielam sentyment Pana Profesora do czasów, kiedy o rozwoju nauki decydowało własnej produkcji „szkiełko” i uzbrojone przez Naturę w ponadprzeciętną przenikliwość „oko” mistrza. Mistrz szerzył wiedzę, wyjaśniając nabożnie zasłuchanym uczniom tajemnice działania szkiełka i jego pożytki dla skutecznego ogniskowania oka. Jest faktem, że w dzisiejszych czasach mistrz nie musi wytwarzać narzędzi – nie znaczy to jednak, że ich powszechna dostępność jest hamulcem oryginalnego, twórczego myślenia! Narzędzia same nie tworzą hipotez, natomiast bez wątplenia znakomicie ułatwiają ich sprawdzanie. Bystre, ale i odpowiednio zogniskowane oko stało się ważniejszym elementem procesu poznawania niż umiejętność szlifowania szkiełka.

Autor zasygnalizował problem relacji mistrz–uczeń, które również nie oparły się zmianom. Być może wiedza mistrza już nie odróżnia go od otoczenia w takim stopniu jak dawniej. Jest to jednak skutek przybywania nowych informacji w postępie geometrycznym oraz powszechnego dostępu do aktualnych publikacji (Internet). Współczesny mistrz nie przestał ogniskować oka swoich uczniów, ale – inaczej niż to miało miejsce w przeszłości: zamiast indukować nabożne zasłuchanie, proponuje partnerską interakcję. Przesłanie zostaje to samo, a układ wzajemnych stosunków dzięki uruchomieniu czynnika „burzy mózgów” staje się bardziej efektywny. Co do koncepcji badań, zgadzam się, że można ją „bez większego trudu zapożyczyć” (czytaj: ścigać)

z innych projektów badawczych, ale nie ma chyba dostatecznych przesłanek, by twierdzić, że w środowisku nauki łatwość dokonywania takich operacji przekłada się na ich powszechność. Nie chodzi tu tylko o hamulce moralne. W uprawianej przeze mnie dziedzinie projekty badawcze najczęściej bazują na koncepcjach już powstałych i dalej rozwijanych, tym samym przynajmniej częściowo upowszechnionych, bądź bliskich stadium opublikowania. Nie sądzę, aby pomysł zapożyczony był na tyle wolny od powleceń, aby uciec z pola widzenia wnikliwego recenzenta pracującego dla przyzwoitego czasopisma naukowego. Oczywiście, wszystko może się zdarzyć, ale nie o wyjątkach tutaj rozmawiamy.

Jestem daleki od twierdzenia, że proces kwalifikowania projektów badawczych do finansowania przebiega w sposób doskonały. Na pewno trzeba nieco odczarować naukometrię, ale nie ma powodu, aby z niej zrezygnować: od wymogu istnienia obiektywnej skali nie uciekniemy. Uważam za nieuprawnione definiowanie twardych kryteriów oceny jako „zastępcze kryteria w rodzaju wskaźników bibliometrycznych czy czegoś w tym rodzaju”. Praca nad dalszym ulepszeniem tych kryteriów stanowi rozsądną alternatywę dla szysterstwa.

Na kanwie użytego przez Autora pojęcia lider–przedsiębiorca chciałbym poruszyć zagadnienie wzajemnych relacji pomiędzy liderem zespołu a jego potencjalnym menadżerem. Relacje te powinny być ustawione w sposób odciążający merytorycznego mistrza od codziennego śledzenia cenników produktów i usług oraz wchodzenia w tajemnice sztuki prowadzenia przetargów. Menadżer nie mając obowiązku publikowania i osiągania awansów naukowych, unikałby wymuszeń dopisywania się do listy autorów. Faktem jest, że rozdzielanie funkcji lidera merytorycznego i organizatora codzienności wokół meritum jest naszym niepokojącym wyróżnikiem lokalnym, ale przecież proces rozpoczął się nie tak dawno, a już kilka pozytywnych przykładów by się znalazło. Poczekajmy na dalsze owoce, nie lubujmy się w poszukiwaniu czarnych i białych charakterów z brzegów krzywej Gaussa, zwłaszcza w sytuacji, w której nie dysponujemy twardymi liczbami „przykładów niezwykle rzetelnego sprawowania funkcji wyłącznie organizacyjnych” i „przykładów przeciwnych” (czytaj: niecnym).

Autor pisze o długich listach współpracowników pokazywanych przez szefujących zespołom wykładowców, co świadczy o tym, iż dostrzega istnienie interakcyjnych form dochodzenia do prawdy. Nie wiecież czemu, akurat w tym miejscu definiuje liderów dużych grup badaczy mianem „przedsiębiorców naukowych”. Jest to etykieta o wydźwięku pejoratywnym, ale Autor nie pozostaje w swoim sarkazmie konsekwentny. Kilka zdań dalej z wyczuwalnym żalem konstatuje: „Próbujemy do tych wzorów nawiązywać, ale tylko nieliczni osiągają porównywalne liczbowo grupy badawcze. W ten sposób uwidacznia się słabość polskiego systemu organizacji badań”. A więc jak to jest: chcemy mieć „przedsiębiorców naukowych” w naszym gronie, czy nie chcemy?

W końcowej części eseju Pan Profesor ubolewa nad tym, iż panujący model organizacji badań „wymusza dążenie do produktywności (?), a to z kolei niesie ze sobą ryzyko rozmaitych wynaturzeń”. Niewątpliwie model nie jest optymalny, ale przytoczone argumenty plasują się co nieco obok sedna problemu. Wszak produktywność nie ma konotacji negatywnej, może co najwyżej być nieoptymalnie ukierunkowana. A co do ryzyka wynaturzeń – bierność pozostaje jedyną formą aktywności, która tego ryzyka jest pozbawiona.

JAN ALBRECHT

Członek czynny PAU
Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN, Warszawa